



# ŁAWY SKRZYPIĄ



**HEJ SZKOŁO**

**HEJ KOŁO**

**Warszawa 25 IX 2009**



**PRZEDMOWA**

**INAUGURACJA  
ROKU SZKOLNEGO**

**HITLER W WARSZAWIE**  
Zygmunt Broniarek

**WYWIAD K. ŁOŚ**  
z Bohdanem  
Wróblewskim

**WSPOMNIENIA  
ZE SZKOŁY**  
Świerczewski i Masny

**SPORT W SZKOLE  
W LATACH 1945-1949**  
Zbigniew Deluga

**MATURA 1938**  
Filip Trzaska

**PRZYGODY ANDRZEJKA**  
Aleksandra Spalińska

**KOMUNIKATY**

**HEJ SZKOŁO  
HEJ KOŁO WYCHOWANKÓW  
GiL im. Władysława IV  
25 IX 2009**

Okładkę i strony tytułową  
projektował

*Bohdan WRÓBLEWSKI*  
(matura 1951)

Redaktor i Edytor

*Filip TRZASKA*  
(matura 1938)

Skład komputerowy  
oraz korekta

*KATARZYNA ŁOŚ*

Przygotownia offsetowa

KANN PRESS

Warszawa - Radość

Druk i oprawa

ZAKŁAD POLIGRAFICZNO-WYDAWNICZY

“POZKAL” w Inowrocławiu

ISBN 83-923141-9-0

Zdjęcia: *W. Drzewiecki, K. Łoś i archiwum*

KOŁO WYCHOWANKÓW GIMNAZJUM I LICEUM  
imienia KRÓLA WŁADYSŁAWA IV

---

Nakład 500 egz. Format B5. Objętość: tekstu 4,2 ark. wyd.,  
ilustracji 1,2 ark. wyd. Papier: na tekst offsetowy, kl. III, 80 g/m<sup>2</sup> B1,  
na wkładki ilustracyjne – 2-stronnie kredowany matowy 115 g/m<sup>2</sup> B1,  
na okładkę - karton 1-stronnie kredowany 250 g/m<sup>2</sup>  
Podpisano do druku 19 IX 2009, druk zakończono 23 IX 2009 r.

---

## Drodzy Koleżanki i Koledzy!

Po raz trzeci, na początku roku szkolnego, a dziewiąty z kolei, oddajemy do rąk naszych Czytelników nowy numer „Ławy Skrzypia” tym razem zatytułowany *Hej Szkoło! Hej Koło!* Wraz z nim rozpoczynamy powakacyjną działalność Koła Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV.

W numerze tym już tradycyjnie wspominamy o ważnym wydarzeniu w życiu każdej szkoły – inauguracji roku szkolnego 2009/2010, w którym na egzaminy maturalne wraca „królowa nauk” – matematyka. W tym roku 1. września to także 70. rocznica wybuchu II wojny światowej, o czym wspomina *Aleksandra Spalińska*, uczennica III klasy Gimnazjum w artykule *Pod znakiem Westerplatte*, autorka „Ody do historii” i cyklu przygód *Andrzejka*, które także publikujemy.

Zamieszczamy również wywiad Katarzyny Łoś z naszym „naczelnym” grafikiem *Bohdanem Wróblewskim*, autorem opracowania graficznego naszego czasopisma oraz innych publikacji wydawanych przez Koło i Szkołę. W planie pracy naszego „mistrza” jest m.in. nowy sztandar Szkoły. Życzymy mu powodzenia w tym ambitnym przedsięwzięciu.

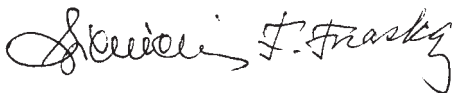
Zachęcamy do powspominania ze *Zdzisławem Świerczewskim* i *Stanisławem Masnym* oraz przybliżenia sobie okresu tajnego nauczania w latach 1942 – 1944.

W numerze tym znalazły się również materiały dotyczące matury 1938, które opracował *Filip Trzaska*. W zeszłym roku obchodziliśmy 70. rocznicę tego wydarzenia.

O „wizycie“ Hitlera w Warszawie pisze *Zygmunt Broniarek*, a o sporcie w Szkole tuż po wojnie – *Zbigniew Deluga*.

Wszystkim uczniom, profesorom i członkom Koła Wychowanków życzymy owocnej pracy i wielu sukcesów w nowym roku szkolnym.

KOMISJA WYDAWNICZA



*Andrzej Siekierski i Filip Trzaska*  
(obaj matura 1938)

PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU



*Wiesiek Drzewiecki*  
(matura 1974)

Warszawa – Praga, 25 września 2009 r.



# IN A U G U R A C J A ROKU SZKOLNEGO 2009/2010

## POD ZNAKIEM WESTERPLATTE

W tym roku 1. września upłynął pod znakiem Westerplatte, a to z racji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej i państwowych uroczystości związanych z tą datą. Do Polski przyjechało ponad 20 delegacji rządowych z premierami na czele i przybyło ponad tysiąc dziennikarzy. Może dzięki temu do wielu osób na świecie dotarła informacja, że II wojna światowa zaczęła się 1. września 1939 r. napadem Niemiec hitlerowskich na Polskę.

1. dnia szkoły, jak co roku, katedrę św. Floriana tłumnie wypełnili Władysławiaczy. Mszę św. odprawił i homilię wygłosił ks. dr Marek Solarczyk – proboszcz parafii Michała Archanioła i św. Floriana, katecheta naszej Szkoły. Podczas niej powiedział, że: ***Gra nie toczy się o to, aby człowiek coś robił, ale oto w jaki sposób będzie żyć. I dobrze wiemy o tym ze względu na to, jakie mamy skojarzenia ze szkołą. Ważna jest nauka, ale także ważne jest, jak młodzi ludzie się zachowują.***

Po Mszy św. poszliśmy do szkoły. Pani Dyrektor, witając nauczycieli i uczniów, także wspomniała o wybuchu wojny i o Władysławiakach, którzy podczas niej zginęli (fot. 1-3). Pod tablicą pamiątkową na korytarzu, na parterze położono kwiaty i zapalono znicze. Mamy nowych nauczycieli i w tym roku dwóch opiekunów samorządu: prof. Teresę Kutermankiewicz i prof. Wawrzyńca Koftę. Następnie udaliśmy się do klas na pierwszą godzinę wychowawczą w tym roku szkolnym. Dostaliśmy wytyczne, dzienniczki i plan zajęć. I jeszcze parę godzin wolnego!

Papież Jan Paweł II w czasie pielgrzymki na Westerplatte w 1987 r. powiedział: ***Każdy z Was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić.*** Nie można „dezertować“. Naszym zadaniem jest nauka. Oby nam się powiodło!

**Aleksandra Spalińska**  
klasa III GB

Jak wspominamy w przedmowie, poza inauguracją roku szkolnego, publikujemy także fragmenty innej twórczości Aleksandry Spalińskiej, uczennicy III klasy naszego gimnazjum. Tym razem jest to „Oda do historii” oraz – na dalszych stronach – cykl przygód Andrzejka o tematyce wakacyjnej.

## ODA DO HISTORII

*Pani Profesor Sylwii Derdzie\**

*Historio, Historio, kim jesteś:  
sekretarką w sztabach polityków,  
emerytowaną nauczycielką,  
nianką wyobrażeń pokoleń  
czy złą czarownicą – złodziejką nadziei?  
A może w każdą rolę potrafisz się wcielić?*

*Historio, w twoim orszaku  
patrioci i zdrajcy, bohaterowie i krwawi tyrani,  
i niepokorne ofiary.  
Nie brak Polaków,  
obrońców nie tylko złotej wolności,  
żołnierzy za wolność waszą i naszą.*

*Historio, czy ci nie dosyć  
ciemnych sprawek nocy  
listopadowych, kryształowych,  
świętego Bartłomieja i długich noży,  
rewolucyjnych spisków i strzałów w tył głowy.*

*Historio, na jaki front pošlesz  
nas, maluczkich niedowiarków,  
ile krwi jeszcze utoczysz,  
aby rośliny mogły się napić:  
czerwone maki i chabry niebieskie,  
zagajniki brzozone i sosnowe laski.*

*Historio, ty jesteś wielką panią,  
która na niebie narodów  
może zaświecić Jutrzenkę,  
dać ludziom w dłonie po latarence,  
aby nie błądzili,  
szukając drogowskazów.*

*Historio, Historio! Ty jesteś, Historio, prorokinią:  
„I have a dream...“,  
„Niech zstąpi Duch Twój...“  
I zstąpił Duch.  
I spełniło się marzenie.  
Historio, prorokuj dalej!*

**Aleksandra Spalińska**  
kl. III GB

\* Pani prof. Sylwia Derda – nauczycielka, która przygotowywała Autorkę wiersza do konkursu historycznego dla gimnazjalistów, organizowanego przez Mazowieckie Biuro Oświaty.



1. Dyrektor Grażyna Filipiak podczas inauguracji roku szkolnego wspomniała o wybuchu II wojny światowej i o Władysławiakach, którzy w niej polegli.



2. Uczniowie i nauczyciele w odświętnych strojach 1. września zapełnili aulę szkolną

## WRZESIEŃ 1939 – HITLER W WARSZAWIE

Po zakończeniu kampanii wrześniowej w 1939 roku, czyli po kapitulacji Warszawy w wyniku agresji III Rzeszy na Polskę 1 września i bezprawnego wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej 17 września poszedłem pieszo z naszego mieszkania na Środkowej do naszego Liceum na Jagiellońskiej (to niedaleko), by uczestniczyć w sprzątaniu boiska ze szkła, które wszędzie zalegało. Ale było już jasne, że normalnej nauki tu nie będzie. Od tamtego czasu dzień każdego 1 września kolejnych lat jest dla mnie dniem wspomnień, podobnie jak moich kolegów ze szkoły. A cóż dopiero mówić o rocznicy SIEDEMDZIESIĄTEJ.

Rocznica ta spowodowała pojawienie się dość obszernej literatury związanej z tematem Września. W niej wyróżnia się pozycja mojego kolegi „po fachu”, red. Eugeniusza Guza, w przeszłości wieloletniego korespondenta prasy polskiej w Niemczech, pt. „Zagadki i tajemnice kampanii wrześniowej” (Bellona, 2009). Jej treść odpowiada w pełni tytułowi, a także określeniu, które narzuca się samo przez się, a mianowicie „co rozdział to sensacja”. Jest tych rozdziałów 38, a oto tytuły kilku z nich: „Kłopoty Trzeciej Rzeszy z Westerplatte”, „Próby zwerbowania lub porwania Becka przez III Rzeszę”, czy „Jak Niemcy szukali Rydza-Śmigłego”.

Guz opiera się, jak pisze, na „nieznanych dotychczas dokumentach niemieckich”. W ten sposób, na przykład, konstruuje rozdział „Nieznane szczegóły obrony Warszawy w 1939 roku”. Stwierdza: „Podobnie jak Stalina, również Hitlera obciąża się wszelkim złem. Rozumowanie to niekiedy zawodzi. Hitler zjawił się na przedpolach Warszawy 25 września o godzinie 10,00 w rejonie Grodziska Mazowieckiego, gdzie zainstalowano kwaterę główną najeźdźcy. Szczegółowy dziariusz niemieckiego dowództwa rejestruje, że po naszkicowaniu fuehrerowi planu końcowego szturmu, ten wprawdzie go zaaprobował, lecz polecił jeszcze go wstrzymać. Tymczasem w naszych tekstach kolportuje się twierdzenie wręcz przeciwne – że Hitler zjawił się pod Grodziskiem Mazowieckim z żądaniem podjęcia natychmiast niszczycielskiego ataku na Warszawę”.

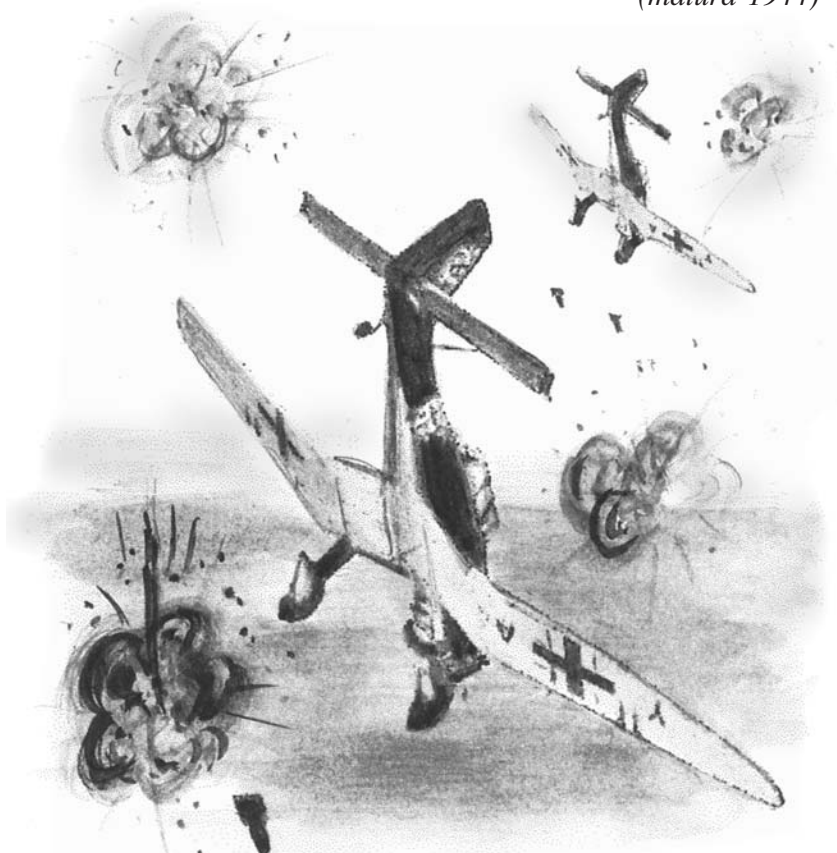
Jak Guz to prostuje? „Głównodowodzący oblężeniem Warszawy gen. płk Johannes Albrecht Blaskowitz – pisze – w raporcie o zajęciu Warszawy przygotowanym dla naczelnego dowództwa opisuje tę końcową fazę następująco: ‘Fuehrerowi przedstawiono plan natarcia 8. Armii na dzień 26 września. Fuehrer jednak, mając na uwadze nieuniknione cierpienia ludności, zaproponował podjęcie jeszcze jednej próby skłonienia dowództwa wroga do porzucenia szaleńczej postawy. W wypadku natychmiastowej kapitulacji fuehrer zapewniał oficerom zachowanie białej broni i honorowy status jeniecki. Podoficerowie i szeregowcy zaś, po załatwieniu niezbędnych formalności, mieli zostać zwolnieni do domów. W tysiącach ulotek przekazujemy tę ofertę obrońcom. Mija 25 września i noc na 26 września, lecz generał Rómmel nie daje żadnej odpowiedzi. W tej sytuacji los

stolicy staje się przesądzony. O świcie 26 września podjęto atak (...). Około godziny 18,30 nadchodzi wiadomość, że zgłosił się polski parlamentariusz, który w imieniu generała Rómmla prosi o 24-godzinne zawieszenie broni. Podejmujemy rozmowę lecz na warunkach: zawieszenie broni przy jednoczesnej gotowości kapitulacji. Wobec braku reakcji, 27 września rano wznawiamy atak. O godzinie 9,00 zjawia się w imieniu gen. Rómmla generał dywizji Kutrzeba z gotowością podjęcia rozmów kapitulacyjnych'. Tyle relacja gen. Blaskowitza z końcowej fazy walk”.

Guz nie pozostawia wątpliwości co do tego, jakimi intencjami kierował się Hitler, odkładając ostateczny szturm na Warszawę. „Oczywiście, że Hitlerem nie powodowała troska o zaoszczędzenie cierpień ludności stolicy – pisze – lecz chęć zmniejszenia strat własnych, szczególnie dotkliwych w ostatnich dwóch dniach szturmów generalnego. Odroczenie szturmów – szansa niewykorzystana przez nasze dowództwo – nastąpiło jednak z jego inicjatywy. To wyłącznie gwoli prawdzie, ponieważ od momentu podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow, Polska była nie do uratowania”.

**Zygmunt Broniarek**

*(matura 1944)*



## ROZMOWA Z BOHDANEM WRÓBLEWSKIM O OJCU, DZIECIŃSTWIE, SZKOLE I TWÓRCZOŚCI

*Katarzyna Łoś: Pana ojciec Polikarp był działaczem niepodległościowym, w jaki sposób zaszczerpił w małym chłopcu miłość do ojczyzny?*

**Bohdan Wróblewski** (dalej: BW): Wychowałem się w rodzinie, w której panował kult wojska, munduru. Od małego uczestniczyliśmy w obchodach odzyskania niepodległości – 11. listopada. Mój ojciec był związany z Chotomowem – jedną z najstarszych miejscowości na Mazowszu, tam się urodził. Był specjalistą od motoryzacji, lotnictwa, wstąpił do drużyny harcerskiej im. Tomasza Zana. W wakacje przyjeżdżał do Chotomowa, miał tam kolegów, z którymi założył filię tej drużyny. Wkrótce została ona przekształcona w oddział Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), o czym zresztą jest napisane w książce „Chotomów, Jabłonna od wieków razem”. Mnie też wciągnięto do harcerstwa, nosiłem tajne meldunki. Obecnie mam legitymację kombatanta ŚZZAK.

*KŁ: Zdobył pan uprawnienia szybownika w Szkole Szybowcowej w Starej Miłośnie – rozumiem, że zainteresowania lotnictwem to też zasługa ojca?*

**BW:** Tak, ale nie tylko, tak w ogóle mam rodowód lotnika. Mój ojciec chrzestny Jerzy Weber był dyrektorem handlowym PZL i jednym z założycieli eskadry kościuszkowskiej. Matka chrzestna była zaś żoną znanego pilota Bolesława Orlińskiego. Pamiętam, jak byłem mały, Orliński zabierał mnie na lotnisko, wsadzał do kabiny samolotu, a sam w tym czasie coś załatwiał.

*KŁ: Jednym z osiągnięć pana ojca było doprowadzenie do kapitulacji garnizonu niemieckiego w Nowej Jabłonce (dziś Legionowo). Jak do tego doszło?*

**BW:** Było to w roku 1918, ojciec miał wtedy 20 lat i dostał rozkaz, żeby 11. listopada rozbroić garnizon niemiecki składający się z 2000 żołnierzy. Sytuacja była ciężka, bo miał w swoim oddziale tylko 100 chłopaków. O szansach na wygrana nikt nie myślał, ale nadzieje pozostawały, ponieważ mówiono, że Niemcy będą się poddawać, bo już jest koniec wojny. Na naszą korzyść popsuka się im radiostacja i nie wiedzieli co się dzieje.

Gdy nasi szli, Niemcy otworzyli ogień, padły pierwsze strzały. Ojciec wydał rozkaz *padnij!* Następnie przeczołgali się pod transporty kolejowe, gdzie Niemców było niewiele, rozbroili ich, zabrali ciężką broń – kilka karabinów, granaty i ruszyli. Gdy zaczęli „walić” – Niemcy się przestraszyli. Prawdopodobnie myśleli, że to jakaś duża armia idzie w ich kierunku i po czterech dniach wywiesili białą flagę.

**KŁ:** *Kiedy pojawiła się pasja rysowania?*

**BW:** Już jako dziecko lubiłem rysować najczęściej wojsko i samoloty, Pierwsze kredki dostałem od Webera, kredki i blok – to był prawdziwy rarytas. Wcześniej, gdy babcia wracała z zakupów, każdy skrawek papieru był cenny do rysowania. Pamiętam jak był pogrzeb marszałka Piłsudskiego, ojca jako, że posiadał legitymację dowódcy POW wpuścili wraz ze mną do katedry. Trumna stała wysoko, oświetlały ją punktowe reflektory, a wokół było ciemno. Po powrocie do domu ja to narysowałem, oczywiście na miarę swoich możliwości, bo miałem wtedy cztery lata. Niestety ten rysunek się nie zachował.

**KŁ:** *Jest pan absolwentem Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV w Warszawie, jak pan wspomina lata spędzone w tej szkole?*

**BW:** Miło je wspominać, aczkolwiek na początku nauka nie szła mi za dobrze, 7. oddział skończyłem w Chotomowie. Gdy przyszedłem do Władka IV, do II klasy, poziom był dużo wyższy, języki się nie pokrywały, ale bardzo lubiłem rysować, a rysowanie było obowiązkowe. Zdarzało się, że musiałem robić chłopakom niektóre prace zaliczeniowe, co mi wypomniano na Jubileuszu 50-lecia pracy twórczej. Miałem raz ciekawą historię, przyszli do mnie ZMP-owcy i poprosili żebym im coś narysował, bo będzie bal, a chcą ośmieszyć bikiniarzy – to tacy modnisie ubierający się na wzór amerykańskiej młodzieży – a to było tępione przez władzę ludową. W związku z tym, wzorując się na zdjęciu z zagranicznej gazety, namalowałem parę bikiniarzy – dziewczynę i chłopaka. Skutek był jednak odwrotny od zamierzonego – wszyscy bikiniarze z Pragi zaczęli się ubierać według tego wzoru.

**KŁ:** *A co może pan powiedzieć o profesorach?*

**BW:** Mieliśmy bardzo dobrych wychowawców i nauczycieli. To była zupełnie inna klasa ludzi niż obecnie. Pan Jarzębski – bardzo dobry historyk, Krasiński – wspaniały matematyk, czy prof. Bigalke, którego pamiętam z matury. To byli wspaniali nauczyciele. Jeśli chodzi o prof. Bigalke – podczas matury byłem bardzo zdenerwowany, on stanął nade mną, wpatrywał się w kartkę i po chwili powiedział szeptem, tak żeby mu się jego długie wąsy nie ruszały: „Co plus będzie?” to ja zmieniłem na minus, a on znowu: „Co minus będzie?”, to ja zupełnie zgłupiałem i znowu zmieniłem, a on na to: „No chyba, że będzie plus”.

**KŁ:** *Po ukończeniu liceum poszedł pan na studia na ASP, do pracowni Jana Szancera, jakim był on nauczycielem?*

**BW:** Wspaniały człowiek, bardzo komunikatywny w przeciwieństwie do innych, do tego pogodny i dowcipny. Bardzo mi się podobały jego prace. Należałem do bliższego otoczenia Szancera, spotykaliśmy się w Brystolu na kawie, przychodził też do mojej pracowni. Często mi powtarzał: nigdy nie udawaj, że jesteś artystą, wystarczy żebyś był dobrym rzemieślnikiem. On też dawał nam pierwszą pracę.

**KŁ:** *Zaczynał pan od ilustrowania książek dla dzieci?*

**BW:** Tak, zaczynałem od ilustracji książkowej. Pierwszą książką, którą zilustrowałem był „Tadek Niejadek” Wandy Chotomskiej, potem „Ptaszki Pana Szambelana” Hanny Januszewskiej. Robiłem nawet do nich wycinanki, żeby zainteresować dzieci.

**KŁ:** *Zaprojektował pan figury do Panoramy Racławickiej i nadzorował prace wykonawcze, w jaki sposób do tego doszło?*

**BW:** Zbliżał się stan wojenny; „Solidarność” podpisała w umowach, że będzie zrekonstruowana Panorama Racławicka. Współpracowałem wtedy z Muzeum Wojska Polskiego, robiłem rekonstrukcje mundurów dla Kampanii Honorowej itp. W związku z tym zwrócili się do mnie z prośbą o wykonanie figur. Zrobiłem projekty, ze wszystkimi detalami. Resztę pracy – wykonanie, pod moim kierunkiem, robiła Spółdzielnia Artystyczna im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie, która dotychczas zajmowała się figurami regionalnymi. Sztandary haftowały siostry zakonne, ja wykonywałem broń. Zajęło nam to trzy lata.

**KŁ:** *Ma pan na swoim koncie ekspozycję ORZEŁ BIAŁY, która została pokazana w kraju i za granicą m.in. w Kwaterze Głównej NATO, skąd się wziął pomysł stworzenia takiej wystawy?*

**BW:** Przez dłuższy czas malowałem wojsko, w pewnym momencie zainteresowała mnie historia naszego godła, więc zacząłem rysować orły. Wiedział o tym kolega z Muzeum Niepodległości, który działał w Pruszkowie. Akurat zbliżała się rocznica 700-lecia godła polskiego. Postanowił, że w związku z tym warto by było zaprezentować moje prace w Pruszkowie. Zrobiliśmy przymiarki, ściągaliśmy kilka oryginalnych eksponatów. Dobrze to wszystko wypadło. Myślałem, że na tym się skończy. Wkrótce dostaliśmy propozycje zaprezentowania wystawy w wielu miejscach w kraju i za granicą, m.in. właśnie w Kwaterze Głównej NATO.

**KŁ:** *We wstępie do książki JAKI ZNAK TWÓJ podkreśla pan, że pomysł jej napisania zrodził się w wyniku spotkań m.in. z młodzieżą i dziećmi. Czego dotyczyły te spotkania?*

**BW:** Gdy miałem Jubileusz 50-lecia pracy twórczej, dyrektor Muzeum Niepodległości udostępnił mi salę balową. W zamian za to miałem prowadzić spotkania z dziećmi i młodzieżą. Tak zostało do dziś – co jakiś czas, głównie podczas ferii zimowych, organizujemy zajęcia dla dzieci i młodzieży. Spotkania z nimi są fajne. Opowiadam im jak należy się zachować podczas różnych uroczystości państwowych, namawiam do wieszania flagi itp.

**KŁ:** *Co udało się panu zaobserwować podczas tych spotkań?*

**BW:** Zauważam., że młode pokolenie mało wie o historii naszego kraju. Moim zdaniem w szkole niewiele mówi się na ten temat. Polacy mało wagi przywiązują do symboli narodowych, panują tendencje kosmopolityczne. Przy okazji różnych obchodów np. na Placu Piłsudskiego widoczne są pewne braki. Młodzież, czy dzieci podczas hymnu jedzą lody, rozmawiają. Kiedyś było to nie do pomyślenia. Widać jednak potrzebę organizowania tego typu spotkań i zainteresowanie.

**KŁ:** *Co planuje pan robić w najbliższym czasie?*

**BW:** Będę zajmował się przygotowaniem sztandaru dla Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV.

**KŁ:** *Dziękuję za rozmowę.*

*Katarzyna Łoś*

Ostatnim przedsięwzięciem Bohdana Wróblewskiego (fot. 4) był plakat na 70. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej dla Muzeum Niepodległości (fot. 5).





3. Poczet sztandarowy podczas inauguracji roku szkolnego



4. Grafik Bohdan Wróblewski z redaktorem Filipem Trzaską

## WSPOMNIENIA ze SZKOŁY

Uczniowie tajnych kompletów w latach 1942 – 1944 – *Zdzisław Świerczewski* i *Stanisław Masny* poświęcają te wspomnienia profesorom Władysława IV: Franciszkowi Sparrowowi, Franciszkowi Flakowi, Stanisławowi Arnoldowi oraz swojemu szkolnemu koledze – Ryškowi Kądzieli, któremu nie było dane być ich współautorem.

### Był początek sierpnia 1939 r.

Wtedy to trzech chłopców, późniejszych przyjaciół ze szkolnej ławy: *Rysiek*, *Staszek* i *Zdzisiek*, przygotowywali się do rozpoczęcia nauki w 5. oddziale szkoły powszechnej. Z nieukrywaną zazdrością spoglądali na swoich nieco starszych kolegów, którzy po ukończeniu 6. oddziałów szkoły powszechnej i zdaniu egzaminów, zostali przyjęci do I. klasy Gimnazjum im. Króla Władysława IV. I choć ci nie rozpoczęli jeszcze zajęć szkolnych, to z dumą umieszczali na rękawach swoich marynarek niebieskie tarcze z numerem 8. gimnazjum, do którego zostali przyjęci. Był to zaszczyt, a często też i wyróżnienie w warunkach Polski przedwojennej, zostać uczniem gimnazjum. Ryškowi, Staszekowi i Zdziszkowi nie było sądzone, aby za dwa lata przypiąć do swoich rękawów takie niebieskie tarcze.

Za kilka dni wybuchła II wojna światowa. W wyniku działań okupanta niemieckiego szkoły średnie zostały zamknięte. W 1941 r. uczęszczali do 8. oddziału szkoły powszechnej.

Wychowawczyni ich klasy, p. *Wanda Dzierzbicka*, wybrała spośród swoich uczniów pięciu najlepszych, godnych zaufania i zaproponowała rodzicom, aby ich dzieci kontynuowały naukę w szkole średniej, w systemie tajnego nauczania. Podjęła się także przygotowania ich do II. klasy gimnazjalnej. To była jedna z form rekrutacji na tajne komplety.

Chłopcy byli godni zaufania, bowiem wychowanie patriotyczne otrzymywali od najmłodszych lat zarówno w szkole, jak i w domu. Uczono ich miłości do Ojczyzny i szacunku dla polskiego oręża. Do dziś pamiętają, choć mieli wtedy po 11. lat, te hasła buńczuczne, m.in. „nie oddamy nawet guzika od marynarki” i mówiące, że „jeśli co, to za dwa tygodnie będziemy w Berlinie”.

I pamiętają też, choć byli jeszcze dziećmi, jak boleśnie odczuli klęskę w 1939 r. w wojnie Polski z Niemcami.

Po zdaniu egzaminu, który odbył się w Instytucie Weterynarii na Grochowie, rozpoczęli naukę na tajnych kompletach w Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV w roku szkolnym 1942/1943.

Lekcje odbywały się w prywatnych mieszkaniach poszczególnych uczniów.

Organizacja kompletów, ich miejsce w walce z okupantem oraz ocena tajnego

nauczania zostały już opisane w II tomie monografii szkoły i wcześniejszych numerach „Ław Skrzypią”.

Od tamtych czasów, gdy uczęszczaliśmy do II klasy minęło już 67 lat. A że pamięć ludzka jest często zawodna, a jeszcze częściej nietrwała, to i tamte czasy jawią się nam jak poszarpany przez czas stary film czarno-biały. Bo i czasy też były czarne, tylko zabarwione krwią czerwoną. Ale jest to film już nie niemy, bo o tamtych ciemnych czasach trzeba mówić i wspominać. Na filmie tym, zniszczonym przez czas długi co minął bezpowrotnie, zachowały się fragmenty, które dokumentują także to, czego nie uchwycono w biografiach nauczycieli i uczniów. I na tym chcemy się zatrzymać w naszych wspomnieniach. Temu też poświęcamy ten wiersz, który jeśli chcecie, to przeczytacie:

*W środy odbywały się komplety na Brzeskiej ulicy,  
W mieszkaniu skromnym w obskurnej kamienicy.  
Chłopczy oczekują na przybycie profesora.  
Ten się spóźnia. Czyżby go dopadła w łapance hitlerowska sfera?*

*Wreszcie się zjawia.  
Profesor ów, to dla nas dzisiaj niemal legenda.  
To nauczyciel geografii – Adam Gawęda.  
Choć map nie używał, ani też globusa,  
To swymi wykładami często nas i wzruszał.  
I na tej właśnie lekcji zwrócił się do nas takimi to słowy:*

*„Chłopczy, oto od zachodu już świta nam wolności zorza,  
Więc już niedługo też powstanie Polska od morza do morza.  
Mapy takiej jeszcze nie ma, z nią byłoby nam żyć raźniej.  
Póki co, stwórzcie ją sobie w swojej wyobraźni.  
Jakie rzeki w niej płynąć będą, jakie góry i jakie doliny,*

*Jakie jeziora i jakie równiny,  
To pewnie dzisiaj i beze mnie wiecie.  
Daję wam przeto zadanie: na następnej lekcji o tym opowiecie!”.  
Pan profesor lekcję kończy. Spieszy na inne komplety,  
A do drzwi już puka – łacina, niestety.*

*Łaciny uczył nas Pan Flak – bo tak się nazywał,  
Z „łacińska” Flacusem przez uczniów przezwany.  
Twarz Ryśka go zaniepokoiła, bo ten wyglądał jak niewyspany.  
I tak do niego rzecze: „Chłopcze, gdy patrzę na twą minę,  
To wątpię, czy wiesz co to znaczy „disce puer latine”.*

*Rysiek odpowiedział: „Panie Psorze, to jest łatwe przecież,  
To znaczy: „ucz się łaciny polskie dziecię”.  
Prawda jest taka, rzekł profesor, że łacina wam się przyda  
w różnych stronach życia,  
Z wyjątkiem jednym, gdy expressis verbis,  
Będziecie na Niemczech ćwiczyć lekcję mordobicia.  
I dlatego z tej to ważnej przyczyny  
Możecie używać wobec nich słów i z polskiej...łaciny.*

*W piątek zaś o 14.00 u Zdziśka na ulicy Ks. Ziemowita  
Będą chłopcy Franciszka Sparrowa na zajęciach witać.  
Przyszedł on jak zawsze w ubiór przedziwnie odziany,  
W pantoflach letnich, choć był listopad i pumpy kraciaste ubrany.  
Szczupły, kościsty, lekko pochylony, wyraźnie wysoki,  
Słowem, można było zrywać z niego boli.  
Lecz nikomu nawet nie powstało to w myśli,  
Bo nie dla drwin, lecz po naukę tu na Ziemowita przyszli.  
I choć przezwisko „Roślinka” dali mu w prezencie,  
To biologię, której uczył, traktowali jako równoważne  
z innymi zajęcia.*

*Pan profesor Sparrow opuścił mieszkanie  
I minął się z profesorem Arnoldem przy wejściowej bramie.  
A przyszedł tu on, by zorganizować chłopcom z historią spotkanie.  
Profesor nas uczył, że nie tylko daty, lecz głównie wnioski  
z historii*

*Są ważne dla narodu, jeśli chce żyć w glorii,  
I że społeczeństwo winno unikać wewnętrznych bójk i swarów,  
Jeśli pragnie też korzystać z wolności czaru.  
Profesor Stanisław Arnold był naukowcem, w badaniach wydajnym,  
Miał zaledwie 44 lata, gdy na Uniwersytecie został dziekanem  
i profesorem zwyczajnym.  
Do nas, drugoklasistów, by do historii bardziej nas zachęcić  
Często się zwracał: „Panowie studenci”.*

Wspominamy dziś naszych nauczycieli z wdzięcznością. Widzimy siebie, wówczas 14-latków, jako takich, którzy myśleli już kategoriami ludzi dorosłych, dojrzałych do podjęcia walki o przyszłość kraju. Wielu z nas przygotowywało się już wtedy do uczestnictwa w podziemnych organizacjach wojskowych.

Gdybyśmy dziś powiedzieli naszym 14-letnim wnukom, a może i prawnukom, że były kiedyś takie czasy, że w szkole średniej nie nosiło się teczek i tornistrów,

w zasadzie nie prowadziło się zeszytów, nie było dzienniczków ucznia, nie wzywało się rodziców na wywiadówki, nie było stopni ze sprawowania...i nie było też wagarów, to z pewnością odpowiedzieli by, że były to „fajne” czasy.

Jakże inne jest dziś oblicze młodzieży.

Może i dlatego, że i inne są czasy współczesne ogarnięte ideą konsumpcjonizmu, wszechwładzy pieniądza i walki o „stołki”.

Komplety odegrały ogromną rolę w procesie kształtowania jestestwa młodzieży. Poczucie obowiązku wobec kolegów i przyjaciół oraz wobec Ojczyzny rodziło się jakby od wewnątrz jednostki, bez narzuconych jej z zewnątrz reguł i nakazów.

### Wróćmy do roku 1943.

Przeszliśmy do III. klasy gimnazjum w systemie tajnego nauczania. Teraz lekcje odbywały się w większych grupach. Umożliwiało to odbywanie kompletów w klasztorze, który mieścił się przy ul. Kawęczynskiej, nieopodal Bazyliki Serca Jezusowego, a również w jej podziemiach.

Na początku maja 1944 r. jednego z tych trzech chłopców, Staszka, pojmano w ulicznej łapance i wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec.

Staszek dał znać listownie swym przyjaciołom, gdzie się znajduje.

Zaczęła się intensywne korespondencja między nim a Ryśkiem i Zdziśkiem. Część tej korespondencji zachowała się do dziś. W jednym z listów Zdziśiek napisał do Staszka: „Ja dalej się uczę, jak wiesz w znanej Ci szkole (chodziło oczywiście o komplety) i robię wszystko by mnie bomba bolszewicka nie trafiła”. Listy do Staszka, gdy je dziś czytamy, miały poza bieżącymi informacjami także posmak filozoficzny, poruszający sens życia ludzkiego w aspekcie obaw przed zbliżającą się „nawalą bolszewicką”.

Rysiek uznał, a był to chłopiec wyjątkowo rozumny, że taki charakter listów, to o wiele za mało, by spełniać obowiązki wobec przyjaciela. Uznał, że Staszka trzeba uczyć, by nie stracił tych 2. miesięcy nauki, której pozbawiono go przez wywiezienie do Niemiec.

Rysiek pracę nauczyciela wziął na siebie.

W listach informował i przekazywał mu wiedzę, którą otrzymywaliśmy na kompletach. Zlecał mu zadania matematyczne i z innych przedmiotów, które Staszek miał rozwiązywać i rozwiązane nadsyłać do oceny Ryśka.

Wspominamy o tych faktach „nie bez kozery”, albowiem i tu rodzi się refleksja nad pojmowaniem obowiązków młodych ludzi wobec przyjaciół.

W sierpniu 1944 r., w ramach deportacji mężczyzn z Pragi, Ryśka i Zdziśka spotkał taki sam los, co Staszka. Wywiezieni osobno do Niemiec, znając adres Staszka, szybko nawiązali ze sobą kontakt listowny i wznowili korespondencję.

Ze szczególną intensywnością Rysiek pisał listy do Staszka. Dalej dzielił się

swoją wiedzą ze Staszkiem, sam też jakby kontynuował samokształcenie, chłonąc polskie książki. A skąd je brał? Do dziś nie wiadomo.

I oto nadeszła tragiczna wiadomość.

21 stycznia 1945 r. Staszek otrzymał list, którego nadawcą był Jerzy Kądziela, starszy brat Ryśka. W liście tym czytamy: „Śp. Ryszard Kądziela zmarł śmiercią gwałtowną w czwartek, dnia 4 stycznia o godz. 10.55 wieczorem. Podczas trwania Voralarmu usłyszeliśmy nagły warkot i natychmiast potem bombę, która trafiła w nasze mieszkanie. Ja, będąc w pobliżu drzwi, uciekłem na schody i ocalałem... Brat, siedzący na środku pokoju i czytający spokojnie polską książkę, dopiero pożyczoną, uciekał za mną (słyszałem kroki) i potknąwszy się o próg upadł, a na niego blok żelbetonowy ważący 500 kg. Śmierć poniósł na miejscu... Śp. Ryszard zmarł jak żołnierz na posterunku z bronią w ręku, do ostatniej chwili jako uczeń – czytając polską książkę.” Tyle z listu Jerzego Kądzieli.

Staszek w swym pamiętniku, w komentarzu do tego tragicznego zdarzenia pisze: „nie żyjesz już – bratnia bomba Cię trafiła”. I znowu refleksja: „Zdzisiek unikał bomb bolszewickich, a Rysiek zginął od bratniej bomby”.

I takie też bywały losy przyjaciół ze szkolnej ławy tajnych kompletów Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV.

Staszek i Zdzisiek w październiku 1945 r. wrócili do Polski i kontynuowali naukę w IV. klasie już legalnego Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV, ale to już inna historia...

*Zdzisław Świerczewski  
Stanisław Masny  
(obaj matura 1948)*



## SPORT W SZKOLE W LATACH 1945 – 1949

Dla części naszej klasy (w 1945 II a) sport, a raczej jego skromna namiastka, był najważniejszym zajęciem w codziennym życiu. Już wiosną 1945 roku, wyżywaliśmy się kopiąc piłkę na niezaoranym jeszcze po wojnie polu ogrodnika Adamca, tuż obok dwóch olbrzymich kraterów z wodą, jakie pozostały po „grubych bertach”, które wystrzelili Niemcy 6 i 8 grudnia 1944 r w kierunku siedziby nowych władz, zajmujących moją przedwojenną szkołę przy ul. Otwockiej 3. Po kraterach już nie ma śladu, ale na Ząbkowskiej 35, gdzie „gruba berta“ spadła na aptekę Bielego, jest do dziś pusty plac, a jezdnia zapada się z wyjątkową regularnością.

Właścicielem piłki, a więc najważniejszą osobą, był Witek Dzieciołowski, utalentowany prawy łącznik drużyny. Miał, jak się okazało później, koneksje rodzinne wśród piłkarzy, jego kuzyn grywał w Rakowie Częstochowa w II lidze. Oprócz niego największymi fanatykami kopanej piłki, a jednocześnie najlepszymi graczami, byli Jurek Przasnek, Julek Jeżewski (wyemigrował po wakacjach na Ziemię Odzyskane, do Sopotu), Kazik Sianowski, Roman Ignut, Rysiek Osiński, autor wspomnień – Zbyszek Deluga. Innych dobieraliśmy w miarę potrzeby, bo nie chcieliśmy grać z byle pętakami. Ci ostatni byli z reguły wykorzystywani na obrońce i w bramce.

W trzeciej klasie dołączył do nas Andrzej Charkiewicz, nazwany z racji posiadania długiego przeciwdeszczowego płaszcza „Parasolem“. Był to prawdziwy zawodowiec, grał w Ząbkach, którym pozostał wierny do dziś, doczekał się nawet awansu swojego klubu do II ligi (Dolcan Ząbki). Na początku III klasy, jesienią 1945 r. grywaliśmy koło Bazyliki, której mury stanowiły granicę boiska. Z tego okresu utkwił mi w pamięci dzień, gdy z powodu braku kilku czołowych graczy zaprosiliśmy do gry Fredzia Rychlika. Ten tak poczuł się wyróżniony naszym zaproszeniem, że kopnął piłkę z całej siły szpicem buta. Wyższa technika, jak np. uderzenie pasówką, była mu oczywiście nieznana. Fredzio tylko tyle umiał, ale to wystarczyło, żeby piłka pękła w pół i musieliśmy na dwa tygodnie zawiesić na kołku nasze złachane buty, aż do chwili, kiedy jeden z pacjentów pani dr Dzieciołowskiej naprawił nam piłkę.

Już na Jagiellońskiej połączono nas z klasą niemiecką z Wileńskiej. Teraz zyskaliśmy nowego przywódcę, Staśka Rudnickiego, popularnego „Rudego“. Stasiak grał w Syrenie Warszawa, w klubie, z którym później związałem się w czasie mojej kariery lekkoatletycznej. Stasiak grał na środku pomocy, jako to się dziś mówi organizował grę, taki ówczesny Kazimierz Deyna, choć ten grał na innej pozycji. Stasiak był po prostu duszą gry. Miał w sobie coś takiego, że grając z nim wiedzieliśmy, że nie możemy przegrać. Było to irracjonalne, ale skuteczne.

Drużyna Staśka zdobyła w 1946 r. mistrzostwo Warszawy juniorów, pozostawiając w pobitym polu juniorów Legii i Polonii. Jego starszy brat, znakomity bramkarz, grał przed wojną w reprezentacji Polski. Czy trzeba więcej? Nic dziwnego, że w jego cieniu pozostawał najwyższy z nas Tadek Adynowski, który próbował wielu sportów, a w piłce najlepiej czuł się na bramce.

Wracając do Staśka to jego autorytet piłkarski nie miał miary. Utkwił mi w pamięci jeden mecz międzyklasowy. W pogodny, majowy dzień 1946 r. doszło na placu w parku Praskim, tam gdzie dziś stoi muszla koncertowa, do meczu, który miał rozstrzygnąć o prymacie w szkole, nasza III c kontra II c. Inne klasy w ogóle się nie liczyły. Nas prowadził do boju sam Rudnicki, rywali - Dębski, lokalna gwiazdka z Nowej Pragi. Ja z racji leworęczności i wrodzonej szybkości grałem na lewym skrzydle, Witek Dzieciółowski na prawym łączniku, Andrzej Charkiewicz oczywiście na prawej flance, Tadek Adynowski na bramce, poza tym grali Kazik Sianowski, Rysiek Osiński i Roman Ignut. Moja szybkość przy mizernej technice i kompletnej nieumiejętności gry głową nie na wiele się zdała. Cały mecz był nieustannym pojedynkiem Staśka Rudnickiego z Dębskim. My byliśmy jedynie statystami. Plac był pokryty piaskiem, kurzyło się straszliwie. Miał jednak wielką zaletę, prawdziwe bramki. Odpadły dzięki temu kłótnie o prawidłowość zdobytych goli, stale towarzyszące naszym potyczkom przy grze z bramkami zrobionymi z teczek. Nasz kapitan mimo nieustannej walki z godnym siebie rywalem miał jeszcze czas, aby wystawić mi tyle piłek, że nawet przedszkolak strzeliłby z jego podań tuzin bramek. A ja zdobyłem tylko jedną, wturlała się obrzydliwa szmata koło słupek. Mecz zakończył się naszym zwycięstwem 5 : 4. Był to szczytowy okres naszej piłkarskiej kariery.

Grywaliśmy jeszcze w IV klasie, na terenie zdewastowanego w 1939 r. ogrodu zoologicznego, głównie na trawniku, na którym kiedyś zbierały się flamingi. Teren ZOO był w ogóle naszą ostoją, tam m.in. uchwaliliśmy protest do dyrektora z żądaniem przekazania nam piłki do siatkówki za pierwsze miejsce w zbiórce złomu. Miało to miejsce w I klasie licealnej. Ówczesny wójt klasy, Władek Witkowski, który usiłował wręczyć rezolucję dyrektorowi Usarkowi, odbył najszybszy w życiu bieg, sprzed gabinetu dyrektora po schodach prosto na ulicę. Niedoręczony dokument przechowuję do dziś jak relikwię i jednocześnie dowód, jakim był talentem sprinterskim. Koniec wolnego wstępu do ZOO zbiegł się z naszą maturą. W maju zdaliśmy egzamin, a w lipcu otwarto odrestaurowany ogród z okazji uruchomienia słynnej trasy W-Z.

Ale wróćmy do sportu. Nadchodzą lata licealne 1947-1949. Piłkę nożną zastępują gry bardziej kulturalne: siatkówka, koszykówka, gimnastyka, ping-pong (obecnie zwany tenisem stołowym). W siatkówce nasi koledzy z I MA, Michał Gryziński i Jurek Dobrzański grają wyczynowo w AZS-ie. Razem ze starszymi kolegami zdobywają tytuł mistrzów Polski. Do dziś przechowuję Przegląd

Sportowy z ich zdjęciem na pierwszej stronie. A co my szaraczkowie? Gramy w klasie w kosza. Uczymy się nowej gry powoli, ale bez zwłoki organizujemy mistrzostwa szkoły. Na początku biorą w nich udział trzy czy cztery klasy. Nie pamiętam, czy organizowaliśmy eliminacje. Utkwił mi za to w pamięci mecz finałowy z humanistami, z którymi zresztą do małej matury chodziliśmy do jednej klasy. U nas, w I MB w reprezentacji klasy wystąpili: najwyższy w drużynie Włodek Iliński, Marek Piątkowski, Zbyszek Deluga, Andrzej Miszewski i Rysiek Osiński, na zmiany wchodzili Andrzej Charkiewicz i Włodek Gmiter. U humanistów Stasiak Rudnicki, teraz znakomity środkowy, Stasiak Łukasiewicz, Janek Bratkowski, Tadek Adynowski i Cezary Andruszczenko.

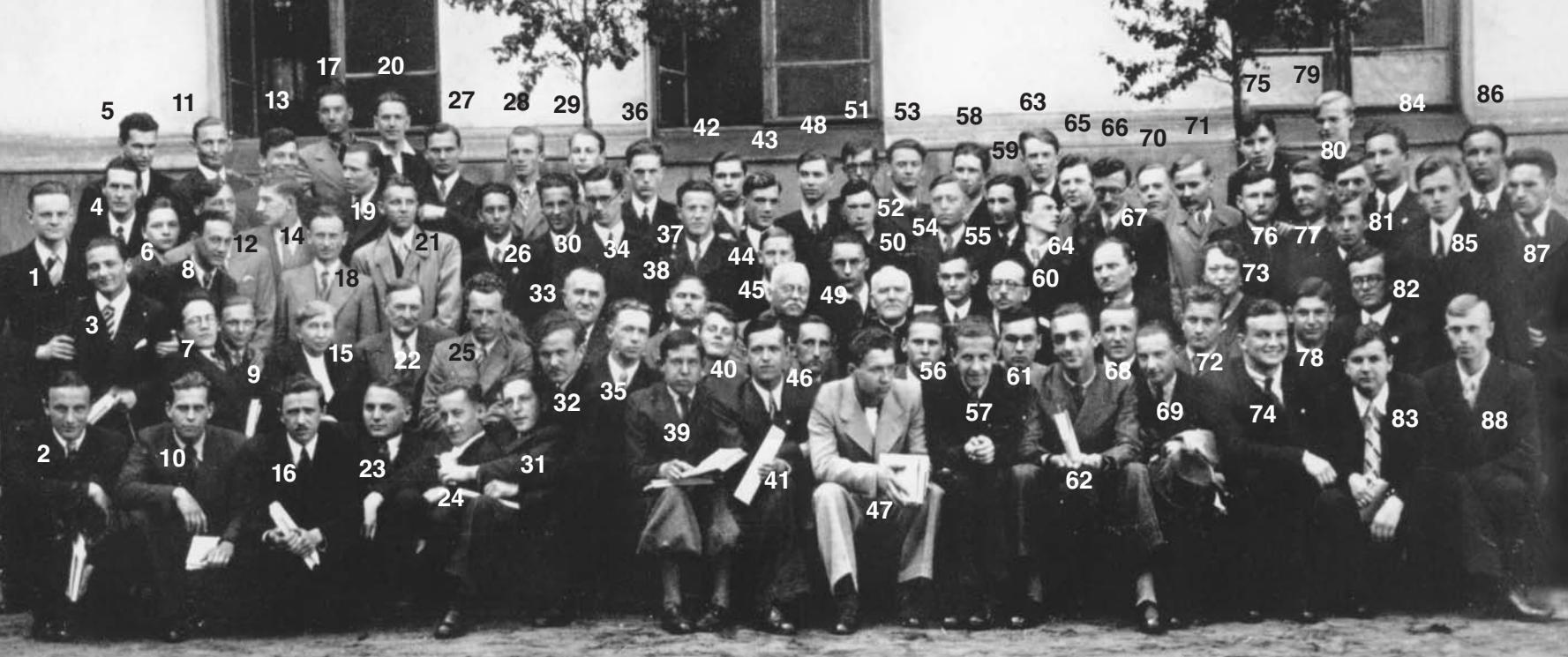
My rozpoczynamy mecz w komplecie, jeszcze z ławką rezerwowych. Humanistów na początku meczu jest tylko czterech, któryś z wymienionej piątki spóźnia się. Nie pamiętam który, a może nie wypada mi powiedzieć, zważywszy na przebieg meczu, który w skrócie przypomnę. Dopóki humaniści grają w czwórkę, wyraźnie prowadzą, bodajże 10 : 4, co jak na nasze umiejętności rzutowe jest wynikiem imponującym. Ale przychodzi ten piąty i sytuacja, o dziwo, zmienia się radykalnie na naszą korzyść. To ci numer. Ten piąty to handicap dla nas. Niech mu Bozia da zdrowie. Do końca meczu trwa zażarta walka o każdy punkt. Mecz kończy się remisem 33 : 33. Wiemy, że musi być dogrywka. W dogrywce długo nikt nie trafia. Wreszcie jest kosz. Dla nas. To Marek Piątkowski w ostatniej minucie trafia ze skrzydła. Boże, co za radość! Z okna służbowego mieszkania przygląda się naszym zmaganiom profesor Jan Pierzan, nasz wychowawca. Po chwili schodzi na boisko i składa nam gratulacje.

Ale sport, jak i życie, nie składa się z samych sukcesów. W ostatnim roku nauki w liceum humaniści w mistrzostwach już nie uczestniczyli. Za to my broniliśmy tytułu. Wydawało się, że nikt nam nie zagrozi. W decydującym o mistrzostwie meczu spotkaliśmy się z „Pawianami“ z I licealnej. Nazywaliśmy ich tak od przydomka Sławka Dembowskiego. Był rzeczywiście jak pawian niesłychanie zwinny, sprawny, brylował nie tylko w koszykówce, ale przede wszystkim w ping – pongu, w którym nie miał sobie równych. W późniejszych latach grywał w I-ligowej Polonii razem z mistrzem Polski Zbyszkim Calińskim i braćmi Kuglerami. Nasi rywale, jak wiem, uczyli się średnio, ale przecież nie miało to żadnego znaczenia dla przebiegu i wyniku meczu (choć mecz przyniósł im profity właśnie na polu nauki). Ale po kolei. Nasi młodsi koledzy przewyższali nas warunkami fizycznymi, techniką a przede wszystkim, jak się później okazało, taktyką gry. Zastosowali chyba jako jedni z pierwszych w kraju pressing (krycie każdy swego) na całym boisku. A my nigdy nikogo nie kryliśmy. Na nic się zdała moja szybkość, spryt Marka Piątkowskiego i Ryśka Osińskiego i wzrost Włodka Ilińskiego. O innych już nie wspomnę. Dostaliśmy lanie jak się patrzy. 13 : 39.



MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI • 2009

5. Plakat Bohdana Wróblewskiego na 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej



## 6. ZDJĘCIE MATURZYSTÓW ROCZNIKA 1938 Profesorowie i uczniowie

1. Henryk Saganowski, 2. Jerzy Chojna, 3. Jerzy Rotblit-Bereda, 4. prof. Franciszek Sparrow, 5. Tadeusz Wnenk, 6. Jan Szczepański, 7. Janusz Lewandowski, 8. Ładysław Wyczański, 9. Filip Trzaska, 10. Feliks Kulczycki, 11. Marian Pułka, 12. Bohdan Bartosiewicz, 13. Romuald Mazurkiewicz, 14. Bogdan Deryng, 15. prof. Irena Pełowska, 16. Antoni Sporny, 17. Leonard Grabusiński, 18. prof. Zygmunt Kuźnicki, 19. Tadeusz Wojdalski, 20. Zygmunt Jeliński, 21. Jerzy Białoszewski, 22. prof. Józef Maciejewski, 23. Eustach-iusz Windyga, 24. Kazimierz Konopka, 25. prof. Adam Kalinowski, 26. Zbigniew Wojda, 27. Józef Rawski, 28. Marian Kuchna, 29. Gabriel Mański, 30. Feliks Kostrzewski, 31. Stanisław Osik, 32. Jerzy Szymankiewicz, 33. prof. Józef Szumański, 34. Wiaczesław Fedorońko, 35. Stanisław Boruciński, 36. Józef Kulesza, 37. Jan Kostrzewski, 38. prof. Stefan Pieniążek, 39. Edward Sawiński, 40. Zdzisław Malinowski, 41. Zbigniew Broda, 42. Zygmunt Gadowski, 43. Jerzy Wysomirski, 44. Józef Ciecwierz, 45. prof. Władysław Wojtowicz, 46. Mikołaj Pilchowski, 47. Stefan Majewski, 48. Andrzej Tewiaszew, 49. Jan Krowicki, 50. ks. Wiktor Rostkowski, 51. Bohdan Lissowski, 52. Stefan Widelski, 53. Tadeusz Ziemkiewicz, 54. Stanisław Szeptycki, 55. Leszek Kułaczkowski, 56. Zbigniew Scharoch, 57. Zbigniew Kwieciński, 58. Zygmunt Szafraniec, 59. Eugeniusz Jezierski, 60. prof. Aleksander Tomaszewski, 61. Andrzej Siekierski, 62. Oskar Gliński, 63. Jerzy Antoniewicz, 64. Czesław Rotkiewicz, 65. Jerzy Sobolewski, 66. Władysław Jakubowski, 67. prof. Leon Zygmunt Usarek, 68. Stefan Krygier, 69. Janusz Kamiński, 70. Kazimierz Kamiński, 71. Jerzy Follak, 72. Jerzy Dyszkiewicz, 73. prof. Janina Łukasiewicz-Piasecka, 74. Tadeusz Ułas, 75. Antoni Tryjarski, 76. Jan Tadeusz Perkowski, 77. Hieronim Korcz, 78. Tadeusz Łazowski, 79. Adam Bogusz, 80. Jan Jankowski, 81. Józef Szmidt, 82. Jerzy Kasprzak (Rudziński), 83. Waldemar Sobolewski, 84. Janusz Gabryl, 85. Stanisław Zwoliński, 86. Gejza Findura, 87. Józef Lubomir Iwanicki, 88. Tadeusz Jabłoński

I ten mecz obserwował profesor Pierzan. Tym razem złożył gratulacje naszym pogromcom. Do końca roku traktował ich ulgowo, dzięki czemu wszyscy zdali do następnej klasy. Myśmy też zdali maturę w komplecie, ale sukcesy sportowe nam w tym nie pomogły. Trochę wcześniej, jeszcze jako legalni mistrzowie szkoły wystartowaliśmy w mistrzostwach szkół średnich Warszawy. Dwa mecze, z Batorym i Budowlanką przegraliśmy gładko, ale odnieśliśmy i jedno zwycięstwo z jeszcze większymi florkami niż my. Z grupy eliminacyjnej oczywiście nie wyszliśmy. Trzeba dodać, że przegraliśmy nie z byle kim. W drużynach naszych rywali grali m.in. Zebek Niciński, Witek Zagórski, późniejsi reprezentanci Polski i olimpijczycy, a także znakomity W. Dzierżko z Budowlanki, który talentem przewyższał wszystkich graczy. Zamiast sportu wybrał jednak architekturę. Łza się w oku kręci. Z czym my do gości. A przecież w latach międzywojennych, tuż przed 1939 rokiem Władek IV był mistrzem Warszawy, a dwóch naszych przedwojennych absolwentów, Bartosiewicz i Birgefellner grało w reprezentacji Polski. Ten pierwszy strzelił pierwszego po wojnie kosza w reprezentacji w meczu z Czechosłowacją, rozegranym w 1947 r. w sali YMCA przy ul. Konopnickiej. Na meczu tym siedzieliśmy z Ryśkiem Osieńskim nad tablicą z koszem, machając nogami podczas strzałów zawodników czechosłowackich. Niewiele to pomogło, bo Polska przegrała ten mecz 33 : 55.

Warto odnotować nasze zainteresowanie gimnastyką sportową. Profesor gimnastyki, tak się wtedy mówiło o nauczycielu w.f. Stefan Załuga, miał za sobą studia w Szwecji, no może nie studia, ale poważne kursy w latach dwudziestych. Był bliskim znajomym stryja Marka Piątkowskiego, olimpijczyka z 1924 z Paryża. Wychowanie fizyczne nie było w tamtych latach specjalnie cenione, dzisiaj jak się okazuje też nie, ale zupełnie z innych powodów. Po dłuższym czasie opróżniono wreszcie salę gimnastyczną, wyremontowano i udostępniono na normalne lekcje w.f. Co to była za radość dla nas, fanatyków sportu w każdej postaci. Szybko okazało się, że nasze umiejętności gimnastyczne nie rozwijane przez ponad 6 lat, są opłakane. Tych zaległości nie można już było odrobić, bo rozwój fizyczny musi trwać przez cały czas kształtowania się młodych organizmów. Żaden z nas, no może poza Januszem Bogdanem Kowalskim z Radzymina, późniejszym wicemistrzem Polski w 10-boju i jednocześnie moim koledze klubowym z Syreny i Ognia, nie potrafił wykonać wymyku na drążku, nie mówiąc już o skoku przez konia czy ćwiczeniach na drabinkach. Jak można być dobrym w kosza, piłkę nożną czy siatkówkę, nie mając odpowiednich umiejętności gimnastycznych, sprawności ogólnej, koordynacji ruchów, siły, wszystkich tych elementów niezbędnych przy wyczynowym uprawianiu sportu. A co my na to? Zwróciliśmy się z prośbą do profesora Załugi, aby zechciał nam udzielać dodatkowych lekcji, właściwie można to określić jako korepetycje z gimnastyki. Profesor przystał na to chętnie i bezinteresownie. Przez wiele tygodni gnaliśmy z radością i śpiewem na ustach w godzinach

popołudniowych do szkoły. Były to najprzyjemniejsze lekcje w całej naszej karierze szkolnej. A kto uczestniczył w tych zajęciach, niech podniesie rękę do góry.

Zbliżam się do sedna mojego wywodu. Lekkoatletyka, królowa sportu. Moda na nią zapanowała w naszym gimnazjum na przełomie lat 1947 i 1948. Inicjatorem treningów w Syrenie, gdzie brylowali przedwojenni mistrzowie, Gierutto, Morończyk, Kucharski, Staniszewski, był niezastąpiony Rysiek Osiński, nasz pierwszy menażer. Ja byłem w tym czasie tylko kibicem. Rekordy Polski znałem jeszcze przed wojną, jak miałem 8 – 9 lat. Po wojnie chodziliśmy na wszystkie zawody. Ale żeby samemu startować? Nawet o tym nie śniłem. Pierwsza próba treningu, na jesieni 1947 r. wypadła niepomyślnie. Trafiłem na trening średniostansowców prowadzony przez olimpijczyka z Berlina z 1936 r., Kazimierza Kucharskiego (do dziś uznawanego za najlepszego 800-metrowca w historii naszej lekkoatletyki).

Na rozgrzewkę pobiegliśmy z sali BOS-u w górę Łazienkowską. Odpadłem z grupy pierwszy. Do wiosny więcej prób nie podejmowałem. Dopiero w końcu maja 1948 r. dałem się namówić na udział w czwartku lekkoatletycznym organizowanym przez samego Witolda Gieruttę, wicemistrza Europy w 10-boju z 1938 r. z Paryża. Zawody odbywały się wtedy na Legii. Brylowali tu już wszechstronny Stasiak Rudnicki w skoku w dal i skoku wzwyż, Stasiak Łukasiewicz w skoku wzwyż, koledzy z młodszych klas, Lolek Czyżewski i Witold Czajka w biegach; skakał też w dal Rysiek Osiński. Bieg na 60 m już się odbył, zgłosiłem się więc do skoku w dal. Na blisko 100 startujących zająłem drugie miejsce za Staśkiem Łukasiewiczem (556 cm) z wynikiem 535. O dziwo, nasze wyniki zostały odnotowane w Życiu Warszawy (do dziś przechowuję wycinki z tamtych lat). Ale to dopiero początek. W następnym tygodniu startuję ponownie. Tym razem najpierw na 60 m. Mój prawdziwy debiut sprinterski. Biegnę w pierwszej serii razem z Czajką i Czyżewskim, już uznanymi zawodnikami. Przed startem spoglądam w kierunku mety. Jest tak daleko. — To dobrze, myślę, zdążę odrobić stratę na starcie. Bałem się samego startu, na dystansie czułem się pewniejszy. Strzał startera. Nie ma falstartu. Gnam co siły do mety w stylu rozpaczliwym. Ale skutecznym. Wygrywam bieg w czasie 7,5 sekundy, co robi wrażenie na sędziach. Chyba nieźle pobiegłem, myślę. Co tam nieźle. Najlepiej ze wszystkich. Ponad 100 konkurentów pokonanych.

Idę na skocznnię w dal. Moje nazwisko wzbudza już respekt rywali. Rewanżuję się za porażkę sprzed tygodnia. Skokiem na odległość 558 cm zajmuję pierwsze miejsce, Drugi jest Stasiak Rudnicki 551. Nieduża różnica, ale jestem pierwszy. Medale za dwa zwycięstwa wręcza mi osobiście Witold Gierutto, przypieczętowując tym samym mój akces do Syreny. Tego dnia byłem niewymownie szczęśliwy. Wracaliśmy z Ryśkiem Osińskim do domu na piechotę. Świat wydawał się stać przede mną otworem. Dzień ten zaważył na całym moim życiu. Rozpoczął trwa-

jącą do dziś przygodę z lekkoatletyką, najpierw jako zawodnika (największe sukcesy to tytuł mistrza Warszawy w biegu na 200 m w 1950 r, akademickie mistrzostwo Warszawy w biegu na 100 m w 1951 r, brązowy medal w sztafecie 4 x 100 m na mistrzostwach Polski w Krakowie), później sędziego i działacza, którą uwieńczyłem funkcją wiceprezesa sportowego Zarządu Głównego PZLA oraz godnością Honorowego Członka PZLA, najwyższym odznaczeniem w lekkoatletyce nadawanym przez Walny Zjazd Delegatów. Moja przygoda z lekkoatletyką ciągle trwa.

Na zakończenie ostatnie wspomnienia. Najpierw na wiosnę 1949 r. rozegraliśmy w Agrykoli chyba jedyny w historii szkoły międzyszkolny mecz lekkoatletyczny. Naszym rywalem było gimnazjum Rejtana. Mecz wygraliśmy bardzo wysoko. Mieliśmy bardzo mocny skład, byliśmy chyba najlepsi w całej Warszawie. Startowałem wtedy na 100 m, skoku w dal i wzwyż, w sztafecie 4 x 100 m, wygrywając wszystkie konkurencje. Na zakończenie gimnazjalnej kariery sportowej wystartowałem w reprezentacji Warszawy na I powojennych Igrzyskach szkolnych, rozegranych na stadionie Legii. W sztafecie, w której wystartowałem razem z kolegami z gimnazjów: Poniatowskiego (Bukowski), Batorego (Beer) i Jasińskiego (Zdort) zdobyliśmy brązowy medal. A propos Wiesiek Zdort to jeden z najbardziej znanych operatorów filmowych, kręcił zdjęcia do najsłynniejszego polskiego filmu „Popiół i diament“ Andrzeja Wajdy. Drugą konkurencją, w której wystartowałem, był rzut oszczepem (wygrałem warszawskie eliminacje na Agrykoli). W skali krajowej nie zwojowałem oczywiście wiele, ale za rywali miałem m.in. Janusza Sidłę (był to jego debiut w wieku 16 lat) i J. Glempa. Uchylę rąbka tajemnicy, nie był to obecny ksiądz Prymas, tylko jego rodzony brat, który później był nawet w kadrze narodowej w rzutach. Janusz Sidło utrzymywał z rodziną księdza Prymasa dość bliskie stosunki. Gdy zmarł (w 1993 r.), ksiądz Prymas wygłosił na nabożeństwie żałobnym homilię, którą rozpoczął słowami:

„Przychodzę tu z potrzeby serca”. Dał w ten sposób do zrozumienia, że pożegnał Janusza z własnej inicjatywy.

Ostatnia ciekawostka. Przeglądając zachowaną do dziś gazetę z wynikami z tych mistrzostw odnalazłem wśród startujących w biegach średnich reprezentanta szkół wrocławskich, Edwarda Grzywę, późniejszego dyrektora mojego Instytutu, a następnie ministra w rządzie PRL, ostatniego ministra przemysłu chemicznego.

*Zbigniew Deluga*  
(matura 1949)



## WSPOMNIENIA MATURZYSTY Z 1938 ROKU

Urodziłem się 26 grudnia 1919 r. we wsi Łęczna (obecnie przedmieście Nowego Dworu Maz.). Po ukończeniu 7. oddziałów szkoły powszechnej w 1933 r., chciałem dostać się do gimnazjum (państwowego). Potrzebne były różne dokumenty, w tym zaświadczenie o szczepieniu przeciw ospie. Nie wystarczyło pokazanie blizny na ramieniu, świadczącej, że jestem zaszczepiony. Musiałem wracać do Nowego Dworu i poddać się temu zabiegowi, ale to trwało. Wreszcie dotarłem, w asyście ojca, do Gimnazjum im. Staszica na ul. Polnej, aby zdać egzamin. Ale tu nowa przeszkoda. Oświadczono memu rodzicowi, że nie mogę być przyjęty do państwowej szkoły, bo pierwszeństwo mają tu dzieci pracowników państwowych, a nie chłopów.

Ojciec nie dał za wygraną, zostawił mnie pod metalowym płotem Politechniki Warszawskiej, na ul. Polnej, sam poszedł interweniować na ul. Bagatela do Kuratorium Warszawskiego. Musiał być zdesperowany, okazał kuratorowi swoją legitymację sołtysa i oświadczył, że jest też urzędnikiem państwowym. Za swoją ciężką i odpowiedzialną pracę nie bierze pieniędzy, robi to społecznie, np. ściąganie podatków, organizowanie robót publicznych, jak szarwark, podwoły, zakwaterowanie podróżnych itp. To były mocne argumenty, bo ojciec otrzymał pisemne polecenie przyjęcia mnie do gimnazjum. W wyniku rejonizacji znalazłem się w 4. klasie Państwowego Gimnazjum im. Króla Władysława IV na Pradze.

Jako uczestnik przedwojennej matury w 1938 r. ośmielałem się po ponad 70-letach przybliżyć ówczesny egzamin dojrzałości opierając się na oryginalnych zdjęciach uczestników tej matury wraz z profesorami Gimnazjum im. Króla Władysława IV w Warszawie na Pradze (fot. 6).

Z góry przepraszam za możliwe przeoczenia, a nawet błędy, bo odtwarzanie tak odległych wydarzeń jest obciążone ryzykiem nawet poważnych omyłek. Nadmieniam, że była to matura dwóch klas: klasy A – z językiem niemieckim i klasy B – częściowo z francuskim oraz angielskim. Wychowawcą mojej klasy A był prof. Stefan Załuga, zaś klasy B – ks. Wiktor Rostkowski.

Moim podstawowym źródłem rekonstrukcji tych wydarzeń jest zdjęcie maturzystów obu wymienionych klas zawierające 88 postaci. Odświeżenie mojej pamięci po tylu latach jest z pewnością obarczone błędami, za które jeszcze raz przepraszam.

W trzydzieści lat po naszej maturze, w 1968 r. odbyliśmy jubileuszowy zjazd. Spotkaliśmy się także po pięćdziesięciu latach od matury, w 1988 r. Zamieszczamy

niektóre zdjęcia z obydwu uroczystości (fot. 7, 8 i 9). Pełna dokumentacja pierwszego zjazdu znajduje się w tomie II Monografii Szkoły. W zeszłym roku minęła 70. rocznica egzaminu dojrzałości. Niestety spotkania z tej okazji nie było, a z roku na rok jest nas coraz mniej.

Czy uda mam się wkrótce zgromadzić na jednym zdjęciu żyjących jeszcze kolegów rocznika maturalnego 1938 – zobaczymy.

*Filip Trzaska*



# PRZYGODY ANDRZEJKA

## Andrzejek jeździ konno

W ostatnią czerwcową niedzielę Andrzejka (czyli Franka) i jego rodziców odwiedzili dziadkowie.

- Gdzie jedziecie na urlop? – zapytał dziadek.

- Na razie nigdzie – odparł tata. – Moja żona nie chce ruszyć się z domu, a mój syn marzy tylko o zwariowanych przygodach...

- O nie! – zaprotestował Andrzejek. – Myślę o jednej przygodzie i nie zwariowanej!

- Ciekawe – mruknął tata z sarkazmem.

Dziadek wyglądał na zachwyconego.

- Wspaniale! – wykrzyknął. – Ja też zawsze chciałem przeżyć przygodę! – i lekceważąc wymowne spojrzenie babci, dodał: – Kiedy byłem w twoim wieku, na farmie swoich rodziców, uczyłem się jeździć konno, oczywiście na oklep. Teraz już z tego nic nie pamiętam, ale znajomi opowiadali mi o świetnej stadninie koni huculskich. To taka rasa koni. Stadnina jest w niewielkiej miejscowości w górach, w Beskidzie Niskim. Moglibyśmy tam razem pojechać, znajomi dali mi ulotkę. Mam ją gdzieś w swoim biurku.

Andrzejkowi spodobała się ta propozycja. Dziadek po powrocie do domu znalazł informacje o stadninie. Była ona w Regietowie koło Uścia Gorlickiego. Andrzejek poczytał o niej w Internecie. Dowiedział się, że jest to największa Stadnina Koni Huculskich w Europie. Stado liczy 280 koni. Na jej terenie kręcono znane filmy, na przykład „Ogniem i mieczem” oraz „Starą Baśń”. Następnego dnia zadzwonił dziadek. Zapisał Andrzejka na koniec lipca na naukę jazdy konnej.

Tak więc, miesiąc później, Andrzejek z dziadkiem Polkiem pojechał w góry. Zamieszkali razem w hotelu koło stadniny. Następnego ranka Andrzejek przyglądał się lekcjom jazdy konnej, udzielanym przez instruktorów. Po południu dostał do ręki zgrzebło i szczotkę, i rozpoczął pracę. Nauczył się czyścić konia. Potem instruktorka pomogła mu konia osiodłać. I po raz pierwszy usiadł na wierzchowcu. Cały czas trząsał się jak osika.

- Dlaczego czegoś t-tak się rusza? N-nie może stać spokojnie?

- Rusza się, bo żyje. Ty też się ruszasz. Nie bój się, ten koń jest bardzo spokojny, nic ci się nie stanie – uspokajała Andrzejka jedna z instruktorek, pani Zuzanna. Była to wysoka młoda kobieta, o ciemnej cerze i czarnych krótkich włosach. – Franek, siedź prosto, nie pochylaj się!

Dziadek Poldek patrzył na instruktorkę jak urzeczony. Andrzejek, gdyby nie siedział przerażony na koniu, parsknąłby pewnie śmiechem na widok miny swojego dziadka.

Powoli przyzwyczajał się. Na Intrydze, bo tak miała klacz na imię, przejechał



7. Pamiątkowe zdjęcie maturzystów z 1938 r. podczas zjazdu z okazji 30-lecia matury



8. Maturzyści z klasy A zasiedli w ławkach, by poczuć się jak za dawnych lat



9. Jubileusz 50-lecia matury. Od lewej: Bogdan Bartosiewicz, Waldemar Sobolewski, Adam Bogusz, Stanisław Szeptycki i Jerzy Bogdański. U dołu: Andrzej Siekierski i dyr. Henryk Sowiński

kilkanaście kótek. Nauczył się co robić, by koń skręcił w prawo lub w lewo, zwolnił i zatrzymał się lub przyspieszył. Po udanym zejściu z konia (co wcale nie było łatwe, choć prostsze od wejścia), Andrzejek zaprowadził Intrygę do stajni.

Następnego dnia miał lekcje na lonży. Pani Zuzanna stała w środku dużego koła i trzymała wodze, a chłopiec, siedząc na koniu, musiał wykonywać różne dziwne ćwiczenia. Raz musiał dotknąć ręką końskiego ogona, raz dotknąć ucha konia. Najtrudniejsze jednak dla niego okazało się anglezowanie. Powtarzał to ćwiczenie kilka razy, a i tak mu nie wychodziło. W końcu, zmęczony, poszedł na obiad. Po krótkiej przerwie były kolejne ćwiczenia na lonży. Jazda konna wcale nie była prosta, a po kilku ćwiczeniach rozbolewały go uda. Dziadek tak się przejął problemami wnuka, że poprosił o przerwę. Uzyskał zgodę, ale przerwa w zajęciach nie okazała się dobra dla Andrzejka. Wpadł z rytmu ćwiczeń.

Ponownie więc zaczął zajęcia. Dziadek Poldek postanowił także przypomnieć sobie jazdę konną z młodości. Po obiedzie i krótkiej drzemce dziadek powiedział pani Zuzannie, że wnuk jest zmęczony i że on za niego pojeździ. Andrzejek wcale nie był zmęczony i chciał zaprotestować, ale dziadek mu na to nie pozwolił. Z pomocą instruktorki wsiadł na konia. Po krótkiej przejażdżce po trawniku zażądał lekcji na lonży. Andrzejek nie mógł w to uwierzyć. Sam bał się lekcji na lonży, a dziadek Poldek nie miał na twarzy nawet cienia strachu... No cóż, jak widać, mam odważnego dziadka” pomyślał. Jednak, gdy dziadek Poldek próbował dotknąć końskiego ogona, Andrzejek zamknął oczy.

- Uwaga, blisko do trocin! – krzyczała od czasu do czasu pani Zuzanna. Tam, gdzie były ćwiczenia na lonży, podłoga pokryta była piaskiem i trocinami, które chroniły przed bolesnym upadkiem. Dziadek Poldek jednak miał już swoje lata, a ćwiczenia na lonży były dość wyczerpujące. Chwiał się na koniu jak statek na morzu podczas sztormu. Chłopak bał się o niego. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziadek nagle zapragnął nauki jazdy konnej, by popisać się przed panią Zuzanną. Ta jednak nie wyglądała na zachwyconą, lecz raczej na zniecierpliwioną.

- Andrzejku, możesz mi zrobić zdjęcie?! – zawołał dziadek.

- Andrzejek? Jaki Andrzejek? – zdziwiła się pani Zuzanna. Andrzejek zrobił kilka zdjęć dziadkowi. Ten jednak nie patrzył się w obiektyw aparatu, ale na panią Zuzannę.,,Babcia nie będzie zadowolona” pomyślał, robiąc kolejną fotkę. W końcu dziadek zmęczył się i Andrzejek miał lekcje do kolacji.

Po niej Franek-Andrzejek wytłumaczył pani Zuzannie, dlaczego dziadek nazwał go Andrzejkiem: bo urodził się w andrzejki.

Gdy Andrzejek wracał z dziadkiem do hotelu, spytał go o jazdę. Chodziło mu o to, czy obudził się w dziadku duch byłego ułana, czy spodobały mu się oczy instruktorki.

- No wiesz! Myślisz, że ja już nie mogę jeździć, tak? Że jestem za stary, prawda?

Święte oburzenie dziadka przekonało Andrzejka, że sprawy nie są tak proste,

jak się wydają. Chłopiec spędził z dziadkiem w Regietowie jeszcze tydzień. Jeździło mu się coraz lepiej. Pragnął popędzić w galopie jak Michał Żebrowski przez step, a tu ciągle: stępa i kłus, stępa i kłus...

Któregoś dnia, gdy odprowadzał Intrygę do stajni, ta niechcący weszła mu kopytem na nogę.

- AUA!!! – krzyknął chłopiec, bo klacz swoją wagę ma i ma też podkowy.

Instruktorka bardzo się zdenerwowała i nakrzyczała na klacz, że nie umie się zachować. Wtem odezwał się inny instruktor:

- To jak pocałunek losu! Nie martw się, będziesz jeździł i to dobrze! Brawo!

I Andrzejek jeździł. Turnus jednak się skończył i trzeba było wracać do domu. Dziadek obiecał, że w przyszłym roku znowu przyjadą, może nawet na dłużej.

Po ostatniej lekcji dziadek wręczył pani Zuzannie bukiet kwiatów. Andrzejek cieszył się w duchu, że już wraca do domu. Dziadka wolał widzieć w towarzystwie babci. Po powrocie do domu opowiedział rodzicom o swoich przygodach, pomijając zainteresowanie dziadka piękną instruktorką.

### Andrzejek się dziwi

Pod koniec sierpnia Andrzejek z rodzicami pojechał do Paryża. Podróż przebiegła zgodnie z planem i przed północą byli na miejscu. Wynajęte mieszkanie znajdowało się w przedwojennym domu, położonym wśród zieleni w Belleville. Centrum miasta, blisko do metra i cisza. Warunki do mieszkania świetne, zwłaszcza że mieszkanie było bardzo wygodne.

Nazajutrz tata spotkał się z gospodynią, by się upewnić co do zapłaty. Okazało się, że za tygodniowy pobyt zapłacą o 100 euro mniej niż w ofercie. Po wyjaśnieniu, że to nie pomyłka, tata powiedział:

- Wspaniale! Na dobry początek mamy 100 euro na dodatkowe wydatki.

- To niemożliwe – stwierdził Andrzejek. Przypomniawszy sobie pobyt w lipcu w Krynicy; wszystko mieli załatwione już w maju i nawet zadatek wpłacony. Na miejscu okazało się, że noclegi właśnie zdrożały o 15 za jedną noc, a posiłki o 10 złotych od osoby. W sumie musieli zapłacić dodatkowo ponad 500 złotych za tygodniowy pobyt.

- To u nas byłoby niemożliwe – odrzekł tata, czytając w myślach syna.

Sąsiednie mieszkanie wynajmowali Anglicy, państwo Black z synem Kevinem, rówieśnikiem Andrzejka. Chłopcy szybko się poznali, a dzięki nim poznali się i rodzice. Andrzejek bardzo się cieszył, że będzie mógł ćwiczyć swój angielski. Obie rodziny często razem zwiedzały miasto.

Któregoś dnia poszli do Luwru. Sam pałac, jak i zbiory bardzo ich interesowały. W Sali z „Moną Lisą” chłopcy zastanawiali się, jak to możliwe, że gdziekolwiek by stali, dama z portretu zawsze na nich patrzy. „To zadziwiające” – pomyślał Andrzejek. W kolejnej sali zwrócił uwagę Kevina na portret Fryderyka Chopina, pędzla Eugene Delacroix.

- Popatrz! To portret największego polskiego kompozytora.
- Muzyka Chopina jest wspaniała. Ale Chopin to przecież francuskie nazwisko – powiedział Kevin.
- Ale dusza polska. Gdyby Chopin nie był Polakiem, nie powstałyby jego mazurki i oberki znane na całym świecie. Po prostu nie miałby inspiracji.

Następnego dnia poszli do Muzeum d'Orsay. Bardzo im się podobało wykorzystanie dawnego dworca kolejowego na muzeum. Po obejrzeniu obrazów impresjonistów czuli jednak niedosyt, nie znaleźli bowiem najbardziej znanych i najpiękniejszych obrazów, które widzieli w albumach.

Podróżując po Paryżu korzystali głównie z metra. Andrzejek nie mógł się nadziwić, że może być tak rozbudowane. W Warszawie jedną nitkę z południa na północ budowano dwadzieścia pięć lat. Gdyby w Paryżu metro powstawało w takim tempie, to musieliby zacząć chyba w średniowieczu.

W sobotę po południu wszyscy poszli obejrzeć Wieżę Eiffla. Do wind była bardzo długa kolejka.

- Wchodzimy na górę po schodach – zdecydował wtedy pan Black.
- Jasne – zgodził się tata Andrzejka. – Chłopcy, idziemy?

Andrzejek i Kevin niechętnie przytaknęli. Ich mamy natomiast stwierdziły, że wystarczy im obejrzenie wieży z dołu i poszły na lody. Po zejściu mężczyzn z wieży wszyscy poszli na spacer przez Pole Marsowe. Wielkie było zdziwienie Andrzejka. Na trawie rozłożone koce, na nich siedzą ludzie: rodzinami z małymi dziećmi, parami lub sami. Czytają książki, rozmawiają, jedzą ciastka i piją wino. Mają nawet lampki do wina. W Warszawie nie wolno niszczyć trawników, zresztą położyć koc byłoby trudno, bo trawniki są użyźniane przez pieski. Alkoholu pić w miejscach publicznych nie wolno, a ci co piją to na pewno nie potrzebują do tego lampek.

Przed wyjazdem Andrzejek z rodzicami poszedł na zakupy. Kupili różne drobiazgi dla siebie i na prezenty. Mamie udało się nawet znaleźć aniołka z miniaturką Wieży Eiffla do kolekcji i oczywiście dobre perfumy. Wieczorem byli już w Warszawie.

- To był udany wyjazd – stwierdził tata. – Dobre mieszkanie, sympatyczni sąsiedzi, słoneczna pogoda i taniej o sto euro.

- Dobry początek to połowa sukcesu – dodała mama. – A jak na początek jest sto euro, to sukces murowany.

Andrzejek żałował, że to już koniec wakacji i pojutrze trzeba pójść do szkoły. Nic nie mówił, tylko po cichutku wdychał.

*Aleksandra Spalińska*  
*kl. III GB*

# K O M U N I K A T Y

## MAMY NOWE WŁADZE

W dniu 4 kwietnia 2009 r. odbyło się zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Koła Wychowanków. Wybrano nowe władze i wprowadzono pewne zmiany w statucie. Dla formalności publikujemy nowo wybrany skład Zarządu oraz innych organów naszego Koła.

### **Zarząd Koła:**

Wiesiek Drzewiecki (matura 1974) – Przewodniczący  
Janusz Warakomski (matura 1974) – Wiceprzewodniczący  
Wojciech Soczewski (matura 1958) – Sekretarz  
Barbara Kaniewska (matura 1974) – Skarbnik  
Małgorzata Cydejko (matura 1973)  
Franciszek Tadeusz Radzio (matura 1952)

### **Komisja Rewizyjna:**

Krzysztof Gujski (matura 1977) – Przewodniczący  
Zbigniew Deluga (matura 1949)  
Sebastian Rudnicki (matura 2001)  
Lubomir Skowroński (matura 1974)

### **Sąd Koleżeński:**

Filip Trzaska (matura 1938) – Przewodniczący  
Stefan Kotowski (matura 2001)  
Grzegorz Gałuszka (matura 1974)



# FUNDUSZ WYDAWNICZY

## „ŁAWY SKRZYPIĄ”

Zgodnie z tradycją składamy podziękowania wszystkim darczyńcom za wsparcie finansowe czasopisma „Ławy Skrzypią”, a w szczególności kol. MAŁGORZACIE Ż A K (matura 1978)

Pozostali ofiarodawcy, to też nasi absolwenci i zarazem członkowie Koła Wychowanków (w nawiasie – rok matury):

**Bohdan BARTOSIEWICZ** (1938)  
**Tadeusz BURCHACKI** (1951)  
**Wiesiek DRZEWIECKI** (1974)  
**Elżbieta FOLTYŃSKA** (1976)  
**Janusz KAMIŃSKI** (1938)  
**Kazimierz KĄKOL** (1939)  
**Tadeusz KISIELIŃSKI** (1939)  
**Hubert KOSSOWSKI** (1956)  
**Bożena KOWALSKA** (1978)  
**Włodzimierz KRZEMIŃSKI** (1939)  
**Jerzy LACHOWICZ** (1939)  
**Jan MIKICIAK** (1959)  
**Krzysztof NIEWIADOMSKI** (1959)  
**Ryszard NIEWIADOMSKI** (1958)  
**Tadeusz RADZIO** (1952)

**Remigiusz RAJSZEWICZ** (1938)  
**Wojciech ROSIK** (1957)  
**Antoni ROSOCHACKI** (2003)  
**Jarosław ROSOCHACKI** (1976)  
**Julianna ROSOCHACKA** (2005)  
**Magdalena ROSOCHACKA** (1976)  
**Edward RUŻYŁŁO** (1929)  
**Andrzej SIEKIERSKI** (1938)  
**Lubomir SKOWROŃSKI** (1952)  
**Kazimierz SKROBIK** (1938)  
**Zygmunt SYROKOMSKI** (1929)  
**Mieczysław TURYN** (1939)  
**Jerzy WYSZOMIRSKI** (1938)  
**Danuta ZAWADZKA – żona**  
**śp. Andrzeja** (1938)

W związku brakiem najnowszych informacji o wpłatach, ktoś mógł zostać pominięty – za co przepraszamy.

**Wszystkim wymienionym i nie wymienionym jeszcze raz serdecznie dziękujemy za troskę o wydawanie naszego czasopisma i zachęcamy innych by się przyłączyli.**

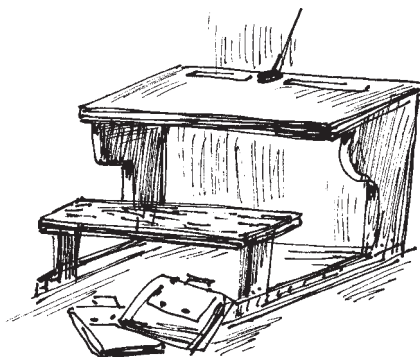
Wpłacać można na ręce Skarbnika Koła podczas comiesięcznych spotkań lub w formie przelewu na konto Koła Wychowanków.

Bank PEKAO SA nr konta: 96 1240 6104 1111 0000 4784 5592

*Redakcja „Ławy Skrzypią”*

# SPIS TREŚCI

DRODZY KOLEŻANKI I KOLEDZY! Słowo wstępne Przewodniczącego Zarządu i Komisji Wydawniczej	3
INAUGURACJA ROKU SZKOLNEGO 2009/2010 .....	5
Pod znakiem Westerplatte .....	5
Oda do historii .....	6
WRZESIEŃ 1939 – HITLER W WARSZAWIE .....	7
ROZMOWA Z BOHDANEM WRÓBLEWSKIM O OJCU, DZIECIŃSTWIE, SZKOLE I TWÓRCZOŚCI .....	9
WSPOMNIENIA ZE SZKOŁY .....	13
Był początek sierpnia 1939 r. ....	13
Wróćmy do roku 1943. ....	16
SPORT W SZKOLE W LATACH 1945 – 1949 .....	18
WSPOMNIENIA MATURZYSTY Z 1938 ROKU .....	24
PRZYGODY ANDRZEJKA .....	26
Andrzejek jeździ konno .....	26
Andrzejek się dziwi .....	28
 KOMUNIKATY .....	30
Mamy nowe władze .....	30
 FUNDUSZ WYDAWNICZY „ŁAWY SKRZYPIĄ” .....	31



U nas **ŁAWY** już nie **SKRZYPIĄ**